



AGNES SOUR

MROCZNA NATURA

SYNOWIE WOJNY #1

AGNES SOUR

MROCZNA NATURA



Copyright © by AGNES SOUR
Copyright © by Moje Wydawnictwo
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Agnieszka Liszowska
Korekta: Agnieszka Liszowska
Skład i łamanie tekstu: K&K Designer
Projekt graficzny książki: K&K Designer
Fotografia na okładce: shutterstock.com

ISBN Papier: 978-83-68147-78-0
ISBN Ebook: 978-83-68147-79-7
ISBN Audio: 978-83-68147-80-3



Moje Wydawnictwo

-  www.mojewydawnictwo.pl
-  wspolpraca@mojewydawnictwo.pl
-  [mojewydawnictwo](https://www.instagram.com/mojewydawnictwo)
-  [mojewydawnictwo](https://twitter.com/mojewydawnictwo)
-  [moje.wydawnictwo](https://www.soundcloud.com/moje.wydawnictwo)
-  [mojewydawnictwo](https://www.facebook.com/mojewydawnictwo)

Bogowie nie pozwolą ci przeczekać deszczu w oczekiwaniu na
tęczę... Wrzucą Cię w sam środek sztormu, byś dotarł tam,
gdzie twoje miejsce.

Ostrzeżenie!

Książka zawiera opisy scen, które przez wrażliwych czytelników mogą zostać uznane za drastyczne!



ROZDZIAŁ 1

KONIEC ŚWIATA

– Córeczko, jesteś pewna, że chcesz wyjechać i to tak całkiem sama? – stęknęła mama i oparła mi dłonie na ramionach.

Kłęczałam właśnie na puchatym dywanie i pakowałam swoje ubrania do dużej, kremowej walizki. Westchnęłam. Nakryłam dłońmi jej dłonie i odwróciłam głowę, by na nią spojrzeć.

– Potrzebuję tego wyjazdu – jęknęłam. – ... zwłaszcza teraz – dodałam, patrząc w jej smutne oczy.

Wiedziałam, że moja mama zwyczajnie się o mnie martwi, ale musiałam myśleć o sobie. Ostatnie półtora roku było dla mnie wyjątkowo trudne, ale to zbliżający się miesiąc miał być najgorszy i dlatego postanowiłam spędzić go jak najdalej stąd.

Nigdy nie pomyślałabym, że moje życie tak się potoczy. To miał być dla mnie najszczęśliwszy czas. Wymarzony i wyczekany. Miałam wyjść za mąż. Termin wybrałam z narzeczonym niedługo po oświadczeniach i byłam pewna, że będzie wyjątkowo. Wszystko zostało dopięte na ostatni guzik – rezerwacja lokalu, fotograf, zespół i nagle te plany legły w gruzach, gdy mój narzeczony zginął w wypadku podczas wspinaczki. Miałam mu wtedy towarzyszyć, ale zachorowałam... Postanowił, że pojedzie ze znajomymi sam i już nie wrócił. Przez ostatnie półtora roku uczyłam się żyć

bez niego, zamiast cieszyć się ostatnimi drobiazgami związanymi z przygotowaniami do ślubu. To było okropne. Spędziłam z nim niespełna sześć cudownych lat, zwiedziłam kawał świata, bo uwielbialiśmy podróżować, a nagle zostałam sama.

Kacper szczególnie upodobał sobie Norwegię i jej zachwycające fiordy. Pokochaliśmy ten kraj. Szczególnie małą miejscowość *Flåm*, położoną nad Aurlandsfjord, odgałęzieniem króla fiordów. To właśnie tam się poznaliśmy – w miejscu, w którym później poprosił mnie o rękę. Z tego powodu nazwaliśmy *Flåm* naszym miejscem, dokładnie po tym, jak dwa lata temu byliśmy tam świętować rocznicę naszych zaręczyn. To tam się wybierałam, żeby wspomnieć, zapłakać i spróbować się pożegnać.

– Nie powinnaś być teraz sama.

– Powinnam! – zareagowałam błyskawicznie. – Oszaleję od tego waszego współczucia i tych smutnych spojrzeń posyłanych w moją stronę. Mam tego dość i chcę... Muszę, być teraz sama.

Poderwałam się z miejsca i stanęłam z moją rodzicielką twarzą w twarz. Jej gęsta, czekoladowa grzywka niemal wpadała jej do oczu. Ostatnio znów była tak skupiona na mnie i moim cierpieniu, że zaniedbała wizyty u fryzjera. Wiedziałam, że mój wyjazd przyda się nam wszystkim. Moi rodzice też powinni odetchnąć i przestać się nade mną trząść. To mnie dobijało, denerwowało i właśnie dlatego musiało się jak najszybciej skończyć. Czasem radykalne decyzje są konieczne, by przerwać pasmo nieszczęść i ruszyć na przód.

– Mamo. – Oparłam dłonie na jej ramionach. – Chcę go pożegnać, po swojemu.

– Tylko dlaczego musisz lecieć na tak długo? – jęknęła ze ściągniętymi brwiami.

– Bo to nie będzie łatwe pożegnanie – stęknęłam.

Westchnęła ciężko i spojrzała mi głęboko w oczy. Jej tęczyówki zaszkliły się od łez.

– Ale będziesz dzwonić? – zapytała.

– Wiem, że wydaje ci się teraz, że uciekam na koniec świata, ale tak nie jest. Będę dzwonić, dawać znać, że żyję, ale jadę tam, żeby odpocząć, a nie wisieć na telefonie.

– Oj, Melisko. – Mama chwyciła mnie za ramiona i przyciągnęła mocno do siebie, by mnie przytulić. – Życie jest takie niesprawiedliwe – rzuciła słabym głosem, pocierając swoją drobną dłonią moje plecy.

Nic odpowiedziałam, bo ścisnęło mnie w gardle. Wsunęłam dłonie pod jej ramiona i jeszcze mocniej wtuliłam się w jej ciało.

Oczywiście, że nie tak miało być. Nie tak to sobie zaplanowaliśmy i nawet najgorszy scenariusz nie zakładał tego, co dała nam rzeczywistość. Tak. To było cholernie niesprawiedliwe, ale byłam już zmęczona płakaniem nad swoją niedolą i nad przeklinaniem losu.

Zamrugałam szybko, by pozbyć się napływających do oczu łez.

– Właśnie o tym mówię. – Odsunęłam się od mamy i zaczęłam nerwowo pocierać policzki. Chociaż żadnej łzy nie udało się na nie spłynąć, wciąż dziwnie mrowiły, jakby domagały się tych słownych kropli. – Wiem, że się martwicie – ty i tata. Chcecie dobrze i chcecie być blisko, żeby mnie wspierać. Ale ja już podjęłam decyzję... Jutro wylatuję! – zaznaczyłam ostro.

Nic nie mogło mnie powstrzymać. Sama do końca nie rozumiałam, dlaczego tak bardzo uparłam się na ten wyjazd. Dlaczego sądziłam, że rozdrapując wszystkie piękne wspomnienia, z kimś kogo utraciłam, poczuje się lepiej. Dlaczego ze wszystkich zakątków świata wybrałam ten najbardziej nasz? Był spokojny, oddalony od zgiełku cywilizacji i idealny, żeby się ukryć, ale wciąż był nasz. Bałam się jak to będzie wysiąść z pociągu bez Kacpra. Przechadzać się ścieżkami, które wspólnie pokonywaliśmy, usiąść w miejscu, w którym opijaliśmy nasze zaręczyny. Liczyłam, że gdy właśnie tam odważę się powiedzieć: „żegnaj”, to ten ból osłabnie, tęsknota da mi odetchnąć i będę mogła spróbować żyć na nowo. Miałam dwadzieścia siedem lat i nie mogłam zamknąć się na świat, chociaż tuż po śmierci Kacpra myślałam, że właśnie tak powinnam postąpić, że właśnie tego chcę, to teraz czułam się

już zmęczona i przytłoczona. Żałoba wyssała ze mnie życie, ale ja zapragnęłam je odzyskać, chociaż wiedziałam, że już nie będzie takie samo.

Następnego dnia z samego rana, z szybko bijącym sercem wsiadałam do samolotu, który odlatywał z lotniska w Krakowie do Oslo Gardermoen. Wiedziałam, że czeka mnie trudna i długa wyprawa. Niecałe dwie godziny w samolocie, potem podróż pociągiem z przesiadkami, łącznie prawie osiem godzin. Miałam pełną świadomość, że wątpliwości – czy *na pewno chce dotrzeć tam zupełnie sama?* – nie opuszczą mnie nawet na krok. Z Kacprem byliśmy wspólnie we *Flåm* kilka razy. Uwielbialiśmy tam zaglądać, nawet jeśli zwykle wpadaliśmy tylko na chwilę, to i tak lubiliśmy czuć, jak w tej niewielkiej malowniczej wiosce czas staje dla nas w miejscu. Było w niej coś magicznego, kojącego. Liczyłam, że to ukojenie znajdzie mnie i tym razem, mimo niesprzyjających okoliczności.

Gdy wysiadłam na ostatniej stacji, czułam dziwny niepokój. Moje serce biło nierówno, oddech zrobił się płytki i pociły mi się dłonie. Tłum wysiadający z pociągu mijał mnie, a ja nagle zastygłam w miejscu. Dopadło mnie zwątpienie. Nagle przestałam czuć się gotowa, żeby tu być. W końcu mocniej zacisnęłam dłoń na uchwycie walizki, trąciłam palcem moją szczęśliwą bransoletkę z symbolem *vegvísir*¹, jakbym chciała dodać sobie otuchy, i na zdrewniałych nogach ruszyłam przed siebie.

Był środek lipca i piękna pogoda. Mimo późnej pory niebo było jasne i nie tańczyła na nim nawet jedna chmurka. Uwielbiałam te norweskie białe noce, nawet jeśli na początku przeklinałam to, jak trudno było mi zasnąć w tych nowych warunkach. Wzniosłam twarz ku niebu, przymknęłam powieki i zaciągnęłam się świeżym powietrzem. Teraz byłam naprawdę wdzięczna za tę jasność, bo czekało mnie kilkanaście minut pieszo do wynajętego przeze mnie małego mieszkanka.

¹ *Vegvísir* – runiczny kompas ochronny

Szłam przed siebie, rozglądając się po górach otaczających ten mały zakątek. Moje oko ucieszył nawet widok fiordu. Krajobrazy tutaj potrafiły zapierać dech w piersiach, ale teraz najbardziej potrzebowałam prysznic i snu. Zmęczenie powoli dawało mi się we znaki i coraz oporniej stawiałam każdy krok.

Po półgodzinnym marszu stanęłam przed dużym, drewnianym prostokątnym, czteropiętrowym budynkiem obitym białymi deskami, w którym mieściło się niewielkie lokum wynajęte przeze mnie na najbliższy miesiąc. Właścicielka Inger Lise mieszkała na samym dole i to właśnie tam miałam odebrać klucze. Zapukałam do drzwi z numerkiem jeden, a po chwili otworzyła mi wysoka, mocno opalona kobieta. Od razu zauważyłam jej przyjazny uśmiech.

– Dobry wieczór. Mam rezerwację na nazwisko Melisa Dębska, uprzedzałam, że będę dziś później – przywitałam się i odwzajemniłam jej uśmiech.

– Och! Tak oczywiście. – Zwróciła twarz w stronę szafeczki, w której na haczykach wisiały klucze i sięgnęła po jeden z nich. – Proszę, mieszkanie numer dwanaście z widokiem – oznajmiła z entuzjazmem.

– Bardzo dziękuję. – Wyciągnęłam dłoń po pęk kluczy.

– Widziałam, że trochę u nas zabawisz, gdybyś czegoś potrzebowała, śmiało daj znać – mówiła, gładząc dłonią swoje króciutkie, kruczoczarne włosy. – Jestem do dyspozycji – dodała.

– Dziękuję bardzo, będę pamiętać.

– Miłego pobytu.

– Dobranoc. – Pomachałam do kobiety i ruszyłam w stronę schodów.

Trzymając się jedną ręką drewnianej barierki, wtaszczyłam walizkę na trzecie piętro. Stanęłam pod białymi drzwiami, na których lśnił numer wskazany przez kobietę, i rozejrzałam się po osiedlu. Przy drodze rosły trzy wysokie sosny, trawa wokół budynku była idealnie przycięta, a wzdłuż chodnika wysypanego białymi kamyczkami ciągnęły się krzewy dzikich róż. Zewsząd

nie dobiegały prawie żadne dźwięki – było absolutnie cicho i spokojnie. Do moich uszu docierał jedynie kojący szum wiatru.

Wsunęłam klucz do zamka i przekręciłam go, po czym naciśnęłam na klamkę i razem z walizką wpakowałam się do środka. Wiatrołap był mały, pomalowany na szaro. Stał w nim wieszak na kurtki i półka na buty. Zrobiłam trzy kroki w głąb mieszkania i stanęłam na korytarzu. Po lewej stronie znajdowała się mała kuchnia, na prawo za drzwiami łazienka, a na wprost wejścia za przesklonymi drzwiami był pokój dzienny z otwartym kominem i kanapą, która po rozłożeniu pełniła funkcję łóżka. Mieszkanie było czyste i jasne, na ścianach królowała biel, a meble były w odcieniu ciemnego dębu. W kuchni na okrągłym stoliku, ustawionym pod oknem z widokiem na osiedle, stał bukiet polnych kwiatów i dzbanek z wodą.

Wyciągnęłam szklankę z szafki i natychmiast ją napełniłam. Wypiłam całą zawartość niemal jednym duszkiem, po czym ruszyłam pod prysznic, by zmyć z siebie zmęczenie, kielkujące wątpliwości oraz strach. Odświeżona i przebrana w piżamę, wyszłam na balkon podziwiać krajobraz. Zerknęłam na zegarek – dochodziła dwudziesta druga, więc uznałam, że to jeszcze dobry moment, żeby zadzwonić do rodziców i dać im znać, że bezpiecznie dotarłam na miejsce. Po krótkiej wymianie zdań z mamą i tatą ułożyłam swoje rzeczy w szafie, w pokoju i padłam na rozłożoną wcześniej kanapę. Próbowałam zasnąć, ale sen długo nie przychodził. Moje myśli były zbyt rozbiegane, by tak po prostu mogły się zagonić do spania.

W końcu zmęczenie wygrało i rozproszyło wszystko, co spędzało mi sen z powiek.

Następnego dnia obudziłam się przed dziewiątą, a mimo to czułam się okropnie zmęczona. Przeciągnęłam się na łóżku, by pobudzić ciało i rozluźnić mięśnie. Przez chwilę tak leżałam, szukając motywacji do tego, by wyrwać się spod kołdry. W końcu zmusiłam

się, żeby stanąć na nogi. Pościeliłam łóżko i ruszyłam się odświeżyć. Umyłam zęby, twarz odświeżyłam kwiatową pianką, a następnie nawilżyłam kremem. Swoje długie, kasztanowe włosy rozczesałam i związałam w niski kucyk. Nim odsunęłam się od lustra, dokładnie oceniłam swój wygląd. Nie było najgorzej. Choć moje policzki wciąż wydawały się odrobinę zapadnięte, a oczy spuchnięte po miesiącach wylewania łez, wyglądałam całkiem dobrze.

Podeszłam do szafy i wyjęłam z niej leginsy kolarki, a do nich dobrałam białą koszulkę na grubych ramiączkach. Za oknem świeciło słońce, a na niebie nie tańczył nawet najmniejszy biały obłoczek, więc mogłam spokojnie wyjść w takim stroju na zewnątrz. Wsunęłam stopy w trampki, przerzuciłam torebkę przez ramię i opuściłam mieszkanie. Celem mojej wycieczki była piekarnia, w której niemal zawsze zaopatrywałam się w pyszne śniadania, gdy odwiedzałam tę wioskę. Byłam pewna, że trasa spacerkiem nie zabierze mi dużo czasu, a przy okazji mogłam nacieszyć się promieniami słońca, które ogrzewały moje policzki. Ostatnio w moim życiu trochę brakowało ciepła, więc z premedytacją wystawiałam twarz ku nim.

Drepcząc przed siebie podziwiałam domki wysoko na skarpie na tle gór, które zdawały się pochylać nad wioską, napierać na nią zewsząd i spychać ją w stronę fiordu, gdzie woda błyszczała w słońcu, odbijającym się od jej tafli. Mewy kołowały nad nią skrzecząc jedna przez drugą. To miejsce miało niewyobrazalny urok, na każdym kroku czuć było jak blisko jest się z naturą i jak wiele ma ona do zaoferowania.

Nim się zorientowałam, stałam przed musztardowym budynkiem. Zauważyłam, że kilka stolików przed piekarnią jest wolnych i nabrałam ochoty, by zjeść śniadanie na zewnątrz. Niepewnie weszłam do środka i rozejrzałam się po wnętrzu. Nic się nie zmieniło, wciąż królowało w nim ciemne drewno oraz pyszne wypieki. Słodki zapach drożdżówek mieszał się z aromatem kawy, aż poczułam, że cieknie mi ślinka.

Podeszłam do kasy i przywitałam się ze starszą kobietą o siwiejących, podkreślonych włosach, obdarzając ją przy tym przyjacielskim uśmiechem.

– Melisa? – spojrzała na mnie przekrzywając głowę w bok.

Skinęłam głową.

– Cześć, Helene – odparłam.

– Och! To ty. – Klasnęła w dłonie. – Miło cię znów u nas widzieć. Na co masz ochotę?

– Poproszę kanapkę z łososiem i dużą kawę.

– Już się robi – zawołała ochoczo i zaczęła krzątać się za ladą, by po chwili postawić przede mną moje zakupy.

– Co cię do nas sprowadza? Krótka wycieczka? Może tym razem zostaniesz na dłużej – mówiła szybko, niecierpliwie wyczekując na odpowiedź.

– Właściwie to tym razem trochę tutaj zabawię. – Podałam jej banknot, by zapłacić.

– Fantastycznie. – Rozejrzała się po wnętrzu piekarni. – Jesteś sama? A gdzie jest twój narzeczony? – Spojrzała na mnie z ciekawsko uniesioną brwią.

Próbowałam zapanować nad grymasem niezadowolenia, ale ten zdecydowanie zbyt szybko wkraśl się na moją twarz.

– On... Mój narzeczony miał wypadek i ... – wykrztusiłam i zwiesiłam głowę.

– Och. – Zasłoniła usta dłonią. – Tak mi przykro.

– To nic. – Machnęłam lekceważąco ręką.

Helene spojrzała na mnie współczująco, a ja chciałam za wszelką cenę odwieść ją od litowania się nade mną i spróbowałam tryśnić nieco entuzjazmem.

– Przyjechałam tu odetchnąć – podkreśliłam. – Nie znam równie urokliwego i zaciszego miejsca. – Zdobyłam się na błydy uśmiesz.

– Oczywiście. Gdybyś czegoś potrzebowała...

– Dam znać – dokończyłam prędko.

W tym samym momencie poczułam, jak ktoś ociera się ciałem o moje ramię, ostrym krokiem podchodząc do lady.

– Wybacz, Helene, trochę mi się spieszy – gardłowy, mocny głos Norwega zawibrował w moich uszach niczym mroczna melodia.

Ciekawsko zwróciłam ku niemu twarz.

Przecucie mnie nie myliło – głos należał do wysokiego, umięśnionego jak diabli mężczyzny. Powiodłam wzrokiem po jego dużej dłoni, którą oparł na drewnianym blacie, w górę silnego, wytatuowanego ramienia. Ciemne plamy tuszu tworzyły nietypowe malunki figur i zawijasów. Między dziwnymi wzorami dostrzegłam kruka i coś na kształt łba wściekłego wilka, ale linie i wzory, z których się składały, utrudniały dokładne ich rozpoznanie. Ciekawsko biegłam wzrokiem wyżej. Szerokie barki robiły wrażenie nawet ukryte pod czarną koszulką. Mężczyzna miał gęstą, ciemną brodę i ogolone skronie oraz tył głowy, natomiast włosy z przodu i na czubku były długie, związane w wiązki i splecione w ciasny, długi warkocz.

W pierwszym odruchu zgłupiałam i byłam pewna, że zaraz oczy wypadną mi z orbit. Pomyślałam, że urwał się z innej epoki. Wydawał się taki groźny, surowy, ale mimo to wabił spojrzenia w swoją stronę.

Norweg wyczuł, że się na niego gapię, bo nagle odwrócił głowę w bok i zerknął w dół, a nasze spojrzenia się spotkały. Z jego oczu bił chłód arktycznego lodu, a i odcień idealnie temu odpowiadał – przejrzysty, lodowy błękit.

Poczułam uścisk w żołądku, zamrugałam gwałtownie i natychmiast odwróciłam twarz.

– Będę uciekać – wydukałam do stojącej za ladą kobiety. – Wpadnę jutro. – Machnęłam na do widzenia i pospiesznie zebrałam z lady kawę oraz kanapkę.

– Do zobaczenia – zawołała za mną Helene.

Wypadłam na zewnątrz i potrząsnęłam głową. Nie powinnam się tak gapić na ludzi. Tutaj na pewno kręci się wielu niecodziennie wyglądających drwali czy jakichś wikingów. To w końcu ich mały koniec świata.

Darowałam sobie siedzenie przy stoliku i uznałam, że zjem śniadanie w drodze. Spokojnym krokiem ruszyłam na plażę, która była nieopodal. Miałam ochotę posadzić tyłek na piasku i podziwiać odgałęzienie tego słynnego *Sognefjorden*, po którym wycieczka promem była jedną z głównych atrakcji turystów odwiedzających *Flåm*.

Powoli szłam przed siebie, przeżuując pyszną kanapkę, gdy obok mnie przejechał stary, zgniłozielony Dodge Power Wagon z 1978 roku. Ze środka dudniła głośna, rockowa muzyka, a na pace siedziało dwóch wyrosniętych typków, którzy przyciągnęli moją uwagę. Jeden był króciutko przyciętym brunetem z gęstym zarostem na drwala. Nie miał na sobie koszulki, a całe jego plecy zdobił tatuaż wikinga pochylającego się nad mieczem wbitym w kamień. Drugi mężczyzna był blondynem z lekkim zarostem i włosami upiętymi w wysoki kok. Miał na sobie białą koszulkę, ale jego mocne mięśnie wyraźnie odznaczały się pod białym materiałem.

– Cześć – zawołał facet z odsłoniętym torsem i pomachał do mnie.

Niepewnie odwzajemniłam gest, i chcąc ukryć zawstydzenie, szybko przystawiłam kubek z kawą do ust. Od razu wróciłam myślami do mężczyzny, którego widziałam w piekarni. To na bank byli jego koledzy, wydawali się być z jednej paczki. Zastanawiałam się, co to za banda i dlaczego wcześniej ich nie widziałam.

Gdy dotarłam na plażę, rzuciłam torebkę na piasek, zdjęłam trampki, skarpetki i spokojnie przechadzałam się wzdłuż brzegu. Woda delikatnie smagała moje stopy i, mimo że była zimna, nie przeszkadzało mi to. Uwielbiałam takie spacerować. Wsłuchiwałam się w skrzeczenie mew i szum fal, to mi wystarczyło do szczęścia.

– Cudownie – szepnęłam do siebie i głęboko zaciągnęłam się powietrzem.

Tego właśnie było mi trzeba. Rzuciłam wzrokiem na widok jak z obrazka. Błękitna woda rozciągała się między górami niczym wstążka, a korony wysokich drzew wyglądały jak zielone dywany pokrywające skaliste szczyty. Natura naprawdę się tutaj

napracowała, a ludzie nauczyli się z nią współgrać na jej zasadach. Chyba tylko dlatego ten zakątek był tak przyjazny i piękny.

Nim się zorientowałam, po moich policzkach popłynęły łzy. Sunęły w dół jedna za drugą. Szybko też dało znać o sobie to uporne kłucie w sercu. To właśnie z tym widokiem świętowaliśmy z Kacprem nasze zaręczyny. Siedzieliśmy na drewnianym pomoście, popijaliśmy szampana prosto z butelki i snuliśmy pierwsze plany dotyczące wesela. Spojrzałam na swoją prawą dłoń. Na palcu serdecznym wciąż lśnił pierścionek, który mi podarował. Wiedziałam, że będę musiała się go pozbyć, że trzymanie go nie ma najmniejszego sensu, bo to przywołuje zbyt wiele wspomnień, ale szczerze nie byłam pewna czy będę potrafiła to zrobić. Czy będę potrafiła wydukać to cholerne „żegnaj” i raz na zawsze zamknąć ten etap w moim życiu. W końcu ile razy można kogoś żegnać? Nie byłam pewna... Ile bólu musi przetoczyć się przez moje serce, bym stanęła na granicy wytrzymałości i zrozumiała, że sama włączyłam przycisk autodestrukcji i nie robię nic, by ją powstrzymać.